# ROZMAITOŚCI.

Dnia 8. Października. № 41. Roku 1856.

## ZAWIEDZIONY.
### Wspomnienie z podróży.

Byłoto w roku 18.., kiedy zwiedziwszy ojczyznę Wilhelma Tella, wracałem przez górę św. Gotharda do Włoch. Powszednia przygoda podróżnych — uszkodzenie osi w powozie — zmusiła mię niespodzianie zatrzymać się przez cały dzień w Giornico, małej wioszczynie na granicy lombardzkiej. Zachodziłem w głowę, jak tu bez książki i wszelkiego towarzystwa przepędzić nieczynnie tak długi przeciąg czasu, gdy wtem na szczęście podał mi gospodarz oberży wyśmienity sposób rozerwania się. Miał on w swojej stajni jakiegoś starego wierzchowca, a w swojej gospodzie małego, rzezkiego chłopaka, który nieraz już służył za przewodnika. Owoż ofiarując mi obudwóch na kilka godzin, radził poczciwiec zrobić wycieczkę w okolicę.

Nie potrzebuję mówić, że propozycye tę przyjąłem z największym pospiechem. Za pół godziny byłem już z moim małym szybkonogim przewodnikiem w drodze ku wierzchołkowi góry, która po zachodniej stronie wioszczyny w znaczną wznosiła się wysokość. Po dość długiej i uciążliwej podróży stanęliśmy wreście na szczycie, zkąd najcudniejszy odsłonił się nam widok. Byłto krajobraz, jaki tylko po włoskiej stronie Alp widzieć można. W nieznacznej oddali rozściełają się w pstrej mieszaninie wysokie skalne urwiska; świecą bystre, szumiące strumyki; ciemnieją ponure lasy jodłowe. W głębi piętrzą się niebotyczne szczyty Alp, owiane gęstą mgłą niebieskawą. U podnóża bieleją tuowdzie zpomiędzy drzew orzechowych, zpomiędzy topoli i kasztanów, piękne sioła podgórskie, zwierciedlące się w falach Tessynu, który całą przerzyna równinę.

„Tam oto" — rzekł mi nagle mój przewodnik, wskazując palcem przed siebie — „leży najpiękniejsza kraina w całych Włoszech."

Spojrzałem w tę stronę, lecz szeroka połonina, przerznięta prądem jakiegoś bystrego potoku, zasłaniała mi widok.

Za radą przewodnika umyśliłem podjechać nieco bliżej, aby lepiej i wyraźniej przypatrzyć się okolicy. Zaraz przed nami wielki most murowany, z małą murowaną kapliczką w pośrodku, łączył obadwa brzegi strumienia, wijącego się wzdłuż połoniny. U progu kapliczki siedziała jakaś stara, zgarbiona kobieta, która za naszem zbliżeniem podniosła się żywo z miejsca, i wyciągnęła ku nam suchą, kościstą rękę.

„W imię Najświętszej Panny, matki Bożej, dajcie za duszę mego biednego syna Antonia!"

Kobieta ta była dość czysto i porządnie ubrana. Nie mogła przeto uchodzić za prostą żebraczkę, a jednakże wyciągała rękę po jałmużnę.

„Dzień dobry ci, matko!" — rzekł do niej mój przewodnik. — „Wieleż uzbierałaś już dzisiaj?"

„*Ohi me, no!*" — odpowiedziała z głębokiem westchnieniem. — „Nic, wcale nic."

Wetknąłem jej małą monetę srebrną do ręki, i puszczając się spiesznie ku połoninie, stanąłem wnet na wzgórzu, zkąd można było przypatrzeć się wyśmienicie odleglejszym krańcom okolicy, tak wielce przez mojego przewodnika zachwalonej.

Byłato rzeczywiście okolica prześliczna, porywająca urokiem owej wspaniałej ciszy, owego błogiego spokoju, które nierozłącznie towarzyszą każdemu wznioślejszemu widokowi przyrody.

U stóp wielkiej, spadzistej góry leżała mała wioska, ocieniona winnicami i kląbami drzew owocowych. Kościoł z dzwonicą i mieszkaniem proboszcza stał na ustroniu, oddzielony od reszty chat. W nieco większej oddali wznosiła się w najpiękniejszem miejscu przepyszna willa dziedzica, okolona szpalerem drzew orzechowych i kasztanowych. Dokoła całej wioski ciągnęły się nieprzejrzaną przestrzenią żyzne pola, bujne łąki i niwy, a stopy góry opasywał wieniec roskosznych winnic. Nad wszystkiem zaś tęczowały wiosenne promienie słońca, rozlewając tak przyjemne, tak łagodne światło złociste, iż cały prześliczny

krajobraz zdawał się przybierać co chwila jakieś czarodziejskie, ułudne, mieniące barwy.

Przez dłuższy czas stałem jak oczarowany na miejscu. Dopiero na powtórne upomnienie przewodnika, że mamy przynajmniej trzy godzin jazdy do oberży, a zaledwie godzinę do wieczora, pomyślałem o powrocie.

Dojeżdżając do owego mostu murowanego, przypomniałem sobie nagle żebraczkę, która nas wprzódy zaczepiła.

„Zkądże to pochodzi“ — zapytałem przewodnika — „iż żebracy są u was lepiej ubrani niż reszta mieszkańców. Przynajmniej ta żebraczka, którąśmy pierwej przy kaplicy widzieli, nie wyglądała wcale nbogo.“

„Bo też ona nie jest ubogą ani żebraczką“ — odpowiedział przewodnik. — „To biedna *Cecca*, waryatka.“

Odpowiedź ta rozciekawiła mię. Chciałem się czegoś więcej dowiedzieć. Zaraz jednakże na wstępie zbył mię przewodnik mój odpowiedzią, że bardzo mało wie o tem. Biedna bowiem Cecca straciła rozum jeszcze przed jego urodzeniem. Słyszał tylko od ludzi, że stało się to w skutek jakiegoś wielkiego nieszczęścia, z powodu utraty jedynego syna. Oberżysta doskonale zna te historyę, i lubi opowiadać ją gościom. Co w istocie największą okazało się prawdą, bo ledwie za powrotem do oberży wspomniałem o mojem spotkaniu z biedną Ceccą, stanął poczciwiec w teatralnej pozycyi, i przybierając uroczysty ton improwizatora, zaufanego w zaletach swojego opowiadania, rzekł potrząsając głową:

„O, to bardzo smutna, acz bardzo zajmująca historya.“

„Doprawdy?“ — rzekłem, udając umyślnie niedowierzanie cudzoziemca z dalekich stron.

„Tak jest panie“ — odparł gospodarz skwapliwie. — „Musisz pan wiedzieć, że ta kobieta była matką Antonia, mojego największego przyjaciela młodości. Byłto niegdyś najpiękniejszy, najweselszy, najlepszy, najszczerszy młodzieniec na całą okolicę. Nikt mu nie wyrównał ani w celności strzału, ani w grze w kręgle, ani w tańcu podczas odpustu. A któż zresztą umiał być przywiązańszym synem, szczerszym przyjacielem! Przy tych wszystkich zaletach osobistych posiadał Antonio także najznaczniejszy we wsi majątek. Jego chata była najpiękniejsza, jego pola najlepiej uprawione, łąki najbujniejsze, winnica najobfitsza. Opływał tedy we wszystko, co ludzkie szczęście zapewnia. A przecież był on bardzo i bardzo nieszczęśliwym. Zakochał się namiętnie w młodej dziewczynie, i właśnie ta miłość zgubiła go z duszą na wieki.“

„Jego kochanka Terezyna, była córką owczarza w służbie bogatego właściciela ziemskiego. Używana od dzieciństwa do pilnowania owiec, nie otrzymała ona żadnego wychowania, ale była piękną, piękną jak anioł. Kto ją po raz pierwszy obaczył, ten zapominał oczy z podziwu. Lecz cóż znaczy sama piękność ciała, bez szlachetności duszy, bez zacności serca? Jestto arcy-niebezpieczny posag, zgubny zarówno dla tych, co go mają, jak i dla tych, którzy go pożądają.“

„W pięknych rysach oblicza Terezyny byłbyś napróżno szukał serca i duszy. Byłato próżna i kapryśna dziewczyna, obca wszelkiemu szlachetniejszemu uczuciu. Nie mogła przytem w żaden sposób być dobrą żoną dla wieśniaka, bo lękała się pracy, i nie znała się wcale na gospodarstwie.“

„Całe jej zatrudnienie było stroić się od rana do wieczora, przypinać sobie wstążki i kwiaty polne, przyglądać się przez całe godziny własnemu obrazowi w wodzie źródlanej, jakby w źwierciedle, a czasem zapędzać trzodę swoją pod sam gościniec publiczny, aby nucąc jakąś piosnkę wesołą, ściągać na siebie oczy przechodniów, i zdumiewać ich swoją urodą.“

„Otoż w tejto dziewczynie zakochał się Antonio z całym ogniem pierwszej miłości. Rano i wieczór kręcił się też około jej mieszkania, towarzyszył jej z trzodą w góry, pomagał jej spędzać rozpierzchłe owce, zbierał dla niej najpiękniejsze kwiaty na polu, zaopatrywał jej mały koszyczek codziennie w najprzedniejsze owoce, a czasami też przygrywał na flecie do jej wesołych śpiewek pasterskich.“

„Terezyna wiedziała, że Antonio był najpiękniejszym, najmajętniejszym młodzieńcem we wsi, że wszystkie dziewczęta pożądliwem na jego rękę rzucały okiem; toż chętnie przyjmowała jego oświadczenia i zalecanki, choć lodowate jej serce nie czuło ku niemu najmniejszego pociągu. Zaślepiony miłością Antonio, nie widział jej błędów, nie zrażał się jej próżnością i zalotnością, a ośmielony pozorami przyjaźni, oświadczył się nakoniec o jej rękę. Rozumie się że nie dostał odkosza.“

„Cożto za piękna będzie para!“ — mówiła wieś cała na wiadomość o ich zaręczynach.— „Toż będą szczęśliwi przez całe życie! Oboje tak uprzejmi i piękni, jakgdyby umyślnie dla siebie stworzeni.“

„Jedna tylko Cecca myślała inaczej; ona jedna patrzyła trzeźwemi oczyma na przyszły

związek syna. Serce matki nie da się tak łatwo oszukać; jakąś tajemniczą, nieznaną nam siłą przeczuwa ono każdy cień niebezpieczeństwa, zagrażający dziecięciu ukochanemu. Jestto rodzaj instynktu moralnego, podobnego do fizycznego instynktu niektórych zwierząt, które wtedy już przeczuwają słotę, gdy ludzie jeszcze o najpiękniejszej marzą pogodzie.“

„Jakoż na wszystkie mowy sąsiadów, winszujących jej przyszłego szczęścia syna, wstrząsała Cecca głową z niedowierzaniem, a do mnie rzekła raz z ciężkiem westchnieniem:

„Sąsiedzie Batysta! Dałabym sobie uciąć prawą rękę, gdyby Antonio odwrócił serce swoje od Terezyny.“

Tymczasem zbliżał się już dzień zaślubin. Ksiądz ogłosił z ambony pierwszą zapowiedź. Wtedyto właśnie znajdował się po raz pierwszy w kościele młody *possidente* czyli pan wsi, który świeżo po swoim wuju objął dziedzictwo.

Wszyscy mieszkańcy sioła, którzy dzierżawili grunta od niego, stanęli w szeregu przed kościołem, aby go powitać przy wyjściu.

W pośrodku nich był i ojciec Terezyny, owczarz zmarłego dziedzica. Mówiłem już panu, jak ładną była Terezyna, lecz w tym dniu była ona jeszcze w dwójnasób ładniejszą w stroju świątecznym, z kwiatami i wstążkami we włosach.

Młody dziedzic oczarowany tak niezwyczajną pięknością młodej wieśniaczki, nie mógł odwrócić już oczu od niej, i stał przez dłuższy czas jak przykuty na miejscu. Nazajutrz zaś rozkazał, aby sama Terezyna przynosiła codziennie mleko, ser i masło do jego ciotki.

Codzień też szeptał jej do ucha owe niebezpieczne pochlebstwa, owe słodkie słówka i szumne obietnice, które nad młodemi niedoświadczonemi sercami tak zgubną mają władzę. Mimo to nie skutkowały one natychmiast. Młody wytworniś miejski, bohater miłostek salonowych, zawiodł się wielce tą razą. Bo też młoda wieśniaczka była nie lada przeciwniczką. Pełna pozornej przyzwoitości w postępowaniu, zimna i obojętna w rozmowach, umiała ona w oczach zakochanego młodzieńca przybrać wyraz tak powabnej skromności, tak przyzwoitej godności dziewiczej, iż namiętność jego w tem wyższy wzmogła się stopień.

Napróżno jednak wysilał kochanek wszelkie sposoby do znalezienia przychylnego posłuchu swoim życzeniom. Na wszystkie jego oświadczenia odpowiadała przebiegła dziewczyna zawsze jedno i tożsamo:

„Jam nie dla pana. Gdzie nie ma równości, tam nie masz i miłości. Wieśniaczka Terezyna nie może być żoną p a ń s k ą.“

Napróżno przeczył temu jak mógł najwymowniej kochanek. Terezyna nie zachwiała się ani na chwilę, i z taką zręcznością podsycała namiętność swojego możnego wielbiciela, iż prawie od zmysłów odchodził.

„Czyż tak mocno kochasz tego Antonia“ — zapytał jej pewnego razu zalotny *possidente* — „że moje prośby, moje zaklęcia — i cierpienia nie mogą najmniejszego wpływu wywrzeć na ciebie.“

„Antonio jest moim narzeczonym“ — odparła przebiegła dziewczyna. — „Nie wolno mi kochać kogo innego.“

„A gdybym chciał ożenić się z tobą Terezyno?“ — zawołał dziedzic, porwany szałem swojej namiętności. — „Czy wyrzekłażbyś się wtedy twojego Antonia?“

„Pan ożenić się ze mną? To przecież niepodobieństwo! Jam tylko prosta, biedna wieśniaczka!“

Po tych słowach zalała się chytra dziewczyna strumieniem zręcznie udanych łez, i uciekła cożywo z pobliża swojego wielbiciela, którego namiętność osiągnęła teraz najwyższy stopień. Jakoż zapominając na swoje znaczenie i urodzenie, niepomny tysiąca innych względów, lekceważąc zwyczaje i uprzedzenia światowe, postanowił na wszelki sposób ożenić się z prostą wieśniaczką, z córką swojego własnego owczarza.

W kilka dni potem była już Terezyna uroczyście zaręczona młodemu dziedzicowi.

„Lecz gdzież był wtedy Antonio?“ — zapytałem mojego opowiadacza.

„Pewna nader ważna sprawa, proces o znaczną część ojczystego mienia, zmusiły go udać się zaraz po przyjeździe nowego dziedzica do Bellinzony. Nieprzewidziany zbieg wypadków zagnał go ztamtąd na cały miesiąc do Medyolanu. Zaledwie jednak ułatwiwszy się z najpilniejszemi sprawami, wracał co tchu do domu.

„Jakże mi będą radzi!“ — mówił sobie przez drogę, marząc o kochance, o matce i reszcie znajomych w wiosce rodzinnej. — „Terezyna wyjdzie mi pewnie naprzeciw; jej serce przeczuje, że powracam.“

Nakoniec stanął już u kopców wioski rodzinnej. Słońce kryło się właśnie za góry. Czarne, deszczem brzemienne chmury okry-

wały niebo, a ciężka, duszna atmosfera zdawała się wróżyć słotę.

W tym momencie jakiś dziwny smutek ogarnął naraz Antonia, jakiś przeczuciowy niepokój poruszył go w głębi serca.

Mimowolnie zatrzymał się w pochodzie, i usiadłszy na kamieniu przy drodze, chciał niejako przemocą otrząść się z tego bezzasadnego jak mniemał smutku i niepokoju. Wtem ozwały się jakieś kroki tuż obok niego. Była to jego matka.

„Tyś tu, matko!“ — zawołał pocieszony w jednej chwili młodzieniec. — „Jak się ma Terezyna?“

„Zapomnij o niej mój synu“ — odrzekła biedna Cecca drżącym głosem.

„Jakto?“ — zawołał Antonio, bledniejąc jak ściana.

„Dla Boga! uspokój się mój synu!“ — zawołała matka, zalewając się gorącemi łzami. — „Nie będę miała odwagi opowiedzieć ci wszystko.“

„Przebóg! Terezyna umarła?“ — zapytał Antonio głosem bez dźwięku.

„Umarła dla ciebie“ — odpowiedziała matka ledwo dosłyszalnym szeptem. — „Jutro bierze ślub z *possidentem*.“

Na te słowa upadł Antonio na ziemię. Tylko dziki, rozdzierający jęk wyrwał mu się z piersi zranionej.

Nazajutrz rano, wracając z mojej winnicy, spotkałem go za wsią bez kapelusza, z rozczochranym włosem, obłąkanemi oczyma, z dzikim wyrazem twarzy. Deszcz lał strumieniem, gęste błyskawice przerzynały powietrze, a silne grzmoty dawały się słyszeć w oddali. Antonio nie zważał na to wszystko. Blady jak upior, w przemokłem odzieniu, z gołą głową, szedł spiesznym krokiem ku górom. W końcu usiadł na pewnym odłamie skały, zkąd można było przejrzeć wieś całą. Dopędziła go niebawem matka stroskana, idąca tuż w jego tropy. Usiadłszy u jego boku, starała się nieboga pocieszać go wszelkiemi sposobami, na jakie tylko zdobyć się może serce matczyne.

Tymczasem zaczęło się wypogadzać. Niebawem ustała ulewa. Chmury rozpierzchły się na wszystkie strony, a słońce w całej swojej wspaniałości zajaśniało na niebie.

Antonio porwał się nagle z miejsca, i w jakiemś niecierpliwem oczekiwaniu wytężył oko i słuch ku siołu. Po chwili ozwał się w oddali uroczysty dźwięk dzwonów i jakiś zgiełkliwy chór głosów ludzkich.

„Otoż i oni!“ — krzyknął naraz, i w jednej chwili spuścił się przepaścistą ścieżką na dół ze skały, i jak opętany pomknął ku chatom.

Na pierwszy dźwięk dzwonów wyszła Terezyna z domku swojego w towarzystwie ojca, drużek i przyjaciółek. Wytwornie ustrojona, wyglądała przecudnie. Tylko jakiś dręczący niepokój migotał w oczach, i lekkie drzenie przenikało od chwili do chwili piersi dziewicy.

Z pomieszkania Terezyny potrzeba było iść do kościoła przez wąski most drewniany, który stał w miejscu dzisiejszego murowanego. Gdy Terezyna z całym swoim orszakiem ślubnym stanęła po jednej stronie mostu, wstąpił Antonio właśnie na drugą. Na jego widok krzyknęła z przestrachu wiarołomna kochanka, i stanęła jak przykuta do ziemi. Antonio jednym skokiem zbliżył się do niej, i upadłszy jej do nóg, zawołał błagającym głosem:

„Terezyno! Kocham cię, kocham cię zawsze! Mimo twoją niewierność zachowałem ci cały zapał pierwszej miłości. Chceszże przyprowadzić mię do rozpaczy? Możeszże dopełnić miary twojego okrucieństwa?“

„Antonio“ — odrzekła Terezyna głosem, który chciał udawać spokój i niezachwianość w postanowieniu. — „Nie jesteśmy stworzeni dla siebie. Skłonności nasze są zanadto różne i sprzeczne. Nie bylibyśmy z sobą szczęśliwi. Zresztą dziś już zapoźno. Co zaszło podczas twojej niebytności, nie da się już odmienić.“

„A twojeż przyrzeczenia, twoje przysięgi? Czyżeś je tylko na wiatr wymawiała? A zapowiedź nasza z ambony, byłożto proste złudzenie, czy też mamidło senne? Patrz, moja obrączka ślubna jeszcze na twoim palcu, nie miałaż ona połączyć nas na wieki?“

Na te słowa wzdrygnęła się Terezyna. Przez jakieś dziwne zapomnienie pozostał ślubny pierścień Antonia dotąd jeszcze na jej palcu. Zdjęła go teraz z pospiechem, i rzekła drżącym głosem do dawnego kochanka:

„Oto go masz Antonio. Odbierz go nazad. Ja inny mam w jego miejscu.“

W tym momencie ozwały się radosne głosy po drugiej stronie rzeki.

Otoczony gronem przyjaciół, spieszył pan młody z uśmiechem wesela naprzeciw oblubienicy.

„Terezyno!“ — zawołał w tej chwili Antonio drgającym głosem. — „Terezyno! jeszcze

czas! Wszystko ci przebaczę, wszystko zapomnę. Rzeknij tylko słówko, jedyne słówko!“

„Terezyno!“ — ozwał się wtem pan młody, niemile tknięty obecnością Antonia. — „Cożto ma znaczyć. Czego chce od ciebie ten człowiek?“

Na dźwięk tego głosu ochłonęła Terezyna z przestrachu. Pewna obrony swojego oblubieńca, podniosła się dumnie na palcach i rzekła rozkazującym głosem do klęczącego ciągle Antonia:

„Puść mię! Nie myślę cofać moje postanowienie. Nie żałuję mego postępku. Oto twój pierścień.“

I wraz z temi słowy rzuciła mu dawny upominek miłości ze wzgardą pod nogi.

Spadając na ziemię, odbił się pierścionek od drewnianej podłogi mostu, i stoczył się w nurty gwałtownie wezbranej rzeki.

„Dostań go sobie z wody!“ — zawołała na to nieczuła dziewczyna z szyderczym śmiechem.

„Poszukamy go razem!“ — zawołał w tej chwili piorunującym głosem Antonio, i porwawszy silnem ramieniem kochankę w pół, rzucił się z nią w jednem oka mgnieniu w fale wzburzonej rzeki.

Wszelki ratunek był niepodobny. Czyn Antonia, nagły i gwałtowny jak błyskawica, odebrał na chwilę przytomność wszystkim obecnym. Ze zgrozą stali wszyscy jak przykuci do ziemi; nikt nie odważył się rzucić za nieszczęśliwemi, sprobować nurtów dziko wezbranej rzeki. Utonęli oboje bez wszelkiej ludzkiej pomocy.

Dopiero w kilka dni wynaleziono ich ciała, konwulsyjnie skrępowane z sobą rękami. Młody *possidente* przejęty gorzkim żalem po narzeczonej, a może i wyrzutami sumienia za zniewolenie jej do wiarołomstwa, kazał zerwać ów nieszczęsny drewniany most, i wymurował w jego miejscu nowy kamienny, wraz z przyboczną kaplicą, w której co roku odprawiają się msze święte za duszę Antonia i Terezyny.

Nieszczęśliwa matka Antonia postradała po śmierci syna rozum, wzrok i pamięć. Codziennie przywlecka się do progu owej kaplicy na moście, i jedną i tąsamą prośbą zagaduje wszystkich przechodniów. Uroiła sobie nieboga, że im więcej uzbiera jałmużny, tem prędzej okupi duszę Antonia. Szczegółów jego śmierci nie pamięta bynajmniej. Wie tylko tyle, iż nieborak ma wiele odpokutować na tamtym świecie.

„Niech Bóg najlitościwszy zachowa ją w swojej opiece“ — zamknął uroczystym głosem ojciec Batysta.

„Amen!“ — odrzekłem. I podziękowawszy serdecznie za opowiadanie, jeszcze tegosamego wieczora wciągnąłem je do mojego pamiętnika podróży. Żal mi jedynie, iż nie mogłem powtórzyć w nim owego teatralnego akcentu i patosu, z którym mój zacny o b e r ż y s t a z professyi, a jak każdy Włoch — improwizator z urodzenia, deklamował mi swoją powieść, i który może głównym zdobił ją wdziękiem.

## ORDER STAŁOŚCI.

Pani *Genlis* pisze w swoich *Pamiętnikach:*

„Hrabina Potocka, hrabina Brzostowska, pan de Seignélai i ja umyśliliśmy ustanowić nowy order, dla którego napisaliśmy statuta, mianując go orderem *Stałości.* Dla nadania mu powagi tailiśmy starannie, iż był naszym wynalazkiem, i przypisywali jego postanowienie jednemu z dawnych monarchów Polskich. Hrabina Potocka napisała w tym celu list do króla Stanisława, który raczył być uczestnikiem naszego żartu, i przysłał mi bardzo poważne podziękowanie za wznowienie we Francyi orderu, dawno w Polsce kwitnącego. To pismo własnoręczne dobrego króla jest naszym najszanowniejszym autentykiem. Pokazywałam je różnym osobom, a tak już nikt nie śmiał wątpić o rzetelności naszej powieści, owszem wszędzie mówiono o ważnym liście króla Polskiego. List ten jest tak przyjemnie pisany, iż wszyscy co mię znają, pragną go czytać.

Dziś rano w ogrodzie pałacu królewskiego spotkawszy się z panem Rulhières, autorem Historyi anarchyi w Polsce, zapytałam go co zrobił z moim listem, który miał posłać do Polski. Odpowiedział iż go oddał młodemu hrabi Puławskiemu, który wyjeżdża aby wstąpić do konfederacyi, dodając iż ten młodzian ma pewne prawa do większego nad innych zaufania.

„Dla czego?“

„Alboż to pani nie jesteś damą orderu Stałości?“

„I owszem, lecz cóż z tego?“

„Ten Puławski jest synem założyciela waszego orderu.“

Na te słowa uśmiechnęłam się.

„To być nie może“ — rzekłam wreście. — „Początek naszego orderu sięga czasów krucyat.“

„Mój Boże! do kogoż to pani mówi? Order Stałości ustanowiony jest w tych czasach, a choć nie mam zaszczytu być jego kawalerem, powziąłem w tej mierze dość pewne wiadomości. Długo bawiłem w Polsce, napisałem historyę ostatnich czasów, musiałem więc wiele szperać i z pewnych źródeł czerpać moje wiadomości. O tym orderze wiem tyle, ile tylko wiedzieć można. Znałem go już dawniej, nim o nim we Francyi usłyszano.“

„Jestem niezmiernie ciekawa. Chciej mi pan udzielić jakich szczegółów w tej mierze.“

„Z całego serca.“

Mocno zajęta usiadłam, aby z większą uwagą słuchać rzeczy tak nadzwyczajnej. Pan Rulhieres zabrawszy przy mnie miejsce, tak mówił:

„Omyliłem się nazwawszy Puławskiego założycielem orderu Stałości; on jest tylko jego przywrócicielem, on po długiem zapomnieniu wskrzesił go, uzbroiwszy znaczną liczbę konnych rycerzy, których był naczelnikiem. Po śmierci starego Puławskiego syn objął dowództwo związku tego przeciwnego królowi, który w istocie tworzył straszną opozycyę. Wtenczas król uczynił to co niegdyś w podobnym razie Henryk III we Francyi. Ogłosił się głową związku, i mianował jaknajwięcej kawalerów orderu Stałości, przez co opozycya znacznie osłabła, a obie strony połączyły się. Takowe postępowanie było tem łatwiejsze, że wszystko w tym orderze jest ukryte, bo podług statutów obrządki i posiedzenia powinny być tajne, kawalerowie żadnych ozdób nie noszą. Ta zdrowa polityka powinnaby podać wszystkim lepsze wyobrażenie o tym królu, lecz nikt nie wie o całej tej okoliczności. Teraz Puławski został sam, i jedzie połączyć się z konfederacyą.“

„Osobliwsza historya!“ — rzekłam — „nic o tem nie wiedziałam. Słyszałam wprawdzie że Puławski był głową mocnego związku, i przewodził tym, którzy króla uwieźli, ale te wszystkie szczegóły o orderze Stałości do tego czasu zupełnie były mi tajne.“

„Rzecz dziwna że nie należący do związku objawia te skrytości osobie, przed którą zasłona tajemnic orderu jest uchyloną.“

„To prawda. Ale za to ja lepiej od pana znam obrządki recepcyi.“

„Bynajmniej pani! I te mi są dokładnie znane. Są piękne, wojenne i zdolne natchnąć rycerskim zapałem osobliwie podczas powszechnych zamieszek.“

„Że też nic przed panem ukryć się nie może!“

„Kiedy kto pisze historyę a historyę spółczesną, powinien póty pracować, poki najtajemniejszych rzeczy nie dojdzie.“

Taka była nasza rozmowa. Nic do niej nie dodałam, a dla większej wierności napisałam ją zaraz po rozejściu się z Rulhierem. Cożby powiedział ten uczony dziejopis, gdybym odkryła że to wszystko było mym wynalazkiem. Niewiem czy też wpisze tę bajkę w swoją Historyę rzeczypospolitej Polskiej, ale zapewnie o niej nie zapomni. Zapomniałam dodać, że bardzo ciekawie wypytywał mię o list króla Polskiego, i że obiecałam mu go pokazać. Zresztą wszędzie mówił o całej rzeczy z takiem przekonaniem i taką ufnością, iż niemało się przyłożył do przydania orderowi naszemu tem większej powagi i prawności.“

**Ostatnie chwile sławnych ludzi.** Sąto najciekawsze momenta w życiu każdego sławnego człowieka. W obliczu śmierci nie zdoła nikt ukryć prawdziwego usposobienia; maska fałszu spada z najwytrwalszego obłudnika; a nic nieznaczące na pozór słówko, wymówione w chwili pasowania się z śmiercią, z ostatniem tchnieniem życia, daje nam niekiedy najlepsze wyobrażenie o charakterze i moralnej wartości zmarłego. Przytaczamy tu cały szereg przykładów tego rodzaju. Konającemu *Alfieremu* zdawało się, że widzi księdza przed sobą; prosił go więc, aby go odwiedził także nazajutrz. Potem kazał przywołać do siebie hrabinę Albany, i rzekł do niej: „Podaj mi rękę, moja droga! Umieram.“ I po tych słowach skończył. *Göthe* wymówił konając owe pamiętne i wieloznaczne słowa: „Światła! światła!“ *Rousseau* kazał krótko przed śmiercią otworzyć okno swojego pokoju, aby po raz ostatni nasycić się widokiem natury. *Klopstock* recytował umierając wiersz o Maryi z swojej Messyady. Pani *Stael* rzekła na kilka chwil przed zgonem do Chateaubrianda: „Służyłam Bogu, ojcu i ojczyźnie.“ Pani *Roland* zawołała na rusztowaniu: „O wolności! ileż zbrodni popełniają w twojem imieniu.“ *Tasso* zaklinał konając kardynała Cynthia, aby popalił wszystkie jego dzieła, mianowicie zaś „Wyzwoloną Jerozolimę.“ *Tomasz Morus* rzekł z uśmiechem do kata na rusztowaniu: „Dziękuję ci, żeś mię tu wyprowadził; do zlezienia na dół nie będę już

potrzebował twojej pomocy.“ *Newton* umarł, nakręcając zegarek. ***Kopernik*** cieszył się przed śmiercią widokiem pierwszego exemplarza swojej nieśmiertelnej pracy „O obrotach ciał niebieskich“, nadesłanej mu świeżo z drukarni w Nürenbergu. Szwajcarski poeta i badacz przyrody *Albrecht Hulier*, rzekł przy skonaniu, trzymając się za puls: „Arterya przestaje już bić.“ Sławny satyryk *Scarron* rzekł umierając do otaczających go przyjaciół: „Moi kochani, nie będziecie pewnie tyle płakali za mną, ileście naśmiali się przezemnie.“ Gdy matematyk ***Laity*** leżał na łożu śmiertelnem, chciano się przekonać, czy jeszcze był dość przytomnym, i zapytano go o summę kwadratową liczby 12. „Sto czterdzieści i cztery“ — odpowiedział i skonał. Gramatyk francuski ***Bonhours*** umarł mówiąc: „*Je vas ou je vais mourir.*“ ***Malherbe*** gniewał się kilką chwilami przed śmiercią na pielęgnującą go w chorobie kobietę, iż co chwila popełniała błąd gramatykalny w rozmowie. ***La Mothe le Vayer***, jeden z najsławniejszych etnografów swojego czasu, zapytał na śmiertelnem łożu sławnego podróżnika *Berrier*, który go właśnie nawiedzał: „A cóż tam słychać w państwie wielkiego Moguła?“ Poczem umarł tej chwili. ***Beethoven*** spiewał umierając pierwsze strofy z swojego hymnu do radości: „Bracia! tam nad gwiazdami.....“ ***Mozart*** kazał swojej córce odegrać hymn Maryi z ***Requiem***, i z ostatniemi jego tonami wyzionął ducha. ***Chopin***, jak wiadomo, prosił przed śmiercią o powtórzenie hymnu do Matki Boskiej, odspiewanego mu właśnie przez hr. Delfinę P., a zgasł ucałowawszy czuwającego przy nim ucznia i przyjaciela Guttmana. ***Haydn*** umierał podczas bombardowania Wiednia w r. 1809. Obadwaj jego słudzy potracili głowy ze strachu: „Czegoż się boicie?“ — zapytał konający. — „Gdzie Haydn bawi, tam nie będzie nieszczęścia.“ Potem zanucił: „Boże zachowaj cesarza“, i oddał ducha spokojnie. Sławny marynarz ***Walter Raleigh***, skazany przez Jakóba II na śmierć po dwunastoletniem więzieniu w Tower, wziął na rusztowaniu topor katowski w rękę i rzekł: „Oto medycyna skuteczna na wszelkie dolegliwości.“ A gdy go zapytano czy sam położy głowę pod topor, odpowiedział wesoło: „Kiedy serce na swojem miejscu, mniejsza oto gdzie padnie głowa.“ Z równąż odwagą zginął na rusztowaniu ***Karol I.*** „Nie lękam się śmierci“ — rzekł kładąc głowę pod topor — „nic ona dla mnie nie ma strasznego.“ Król ***Frydryk Duński*** zawołał w ostatnich chwilach. „Niezmierną jest dla mnie pociechą w obecnej chwili, że nikogo z umysłu nie obraziłem, i ani jednej kropli krwi nie przelałem.“

Nie tak odważnie i spokojnie umierało kilku dyplomatów. Minister ***Beaufort***, obwiniony o otrucie księcia *Gloucester*, zawołał umierając: „Czyż śmierci nie przekupić? Nie pomogąż mi wszystkie bogactwa moje? Muszęż koniecznie umierać?!“ Sławny ***Wolsey*** rzekł krótko przed śmiercią w więzieniu Tower: „Gdybym był tak gorliwie służył Bogu jak służyłem królowi, byłby mnie pewnie nie opuścił na starość. Lecz słusznie mi się dzieje.“ — Potem przemówił do gubernatora Towru: „Mr. Kingston! Powiedz królowi, iż zaklinam go w imię Boga, aby wykorzenił odszczepieństwo w swych krajach, bo jeśli tego nie uczyni, jeśli będzie cierpiał kacerzy, to Bóg odbierze mu koronę, i wywrze gniew swój na całym kraju. Powiedz mu to, a może usłucha słów moich przynajmniej po mojej śmierci.“ Poczem wyzionął ducha. *Mazarin* zawołał konając: „O biedna moja duszo, gdzież się udasz? coż się z tobą stanie!“ I królowa *Elżbieta* upadła na duchu w ostatnich chwilach. „Wszystkie moje kraje za jedną chwilę zwłoki!“ — zawołała przed samą śmiercią.

Wszyscy prawie bohaterowie wojenni i wszyscy celniejsi mężowie stanu ostatnich czasów umierali spokojnie i odważnie. „Powiedźcie Collingwoodowi, aby zarzucił kotwicę!“ — były ostatnie słowa *Nelsona*. „*Tête d'armée!*“ zawołał *Napoleon* umierając. Frydryk Wielki rzekł krótko przed śmiercią, patrząc w słońce. „O słońce! wkrótce będę bliżej ciebie!“ ***Washington*** umarł domówiwszy słów: „Dobrze się stało.“ ***Jefferson*** rzekł umierając: „Duszę moję zapisuję Bogu, a córkę ojczyźnie.“

---

Korona na dnie przepaści. Piękny i żyzny półwysep indyjski, najcenniejsza perła korony angielskiej, jest krainą nie do uwierzenia bogatą w przesądy i zabobony. Napróżno kilka tysięcy missyonarzów angielskich przebiega kraj cały od końca do końca. Wszelkie zabiegi i usiłowania rozbijają się bezowocnie o ową nieprzezwyciężoną uporczywość, z jaką trzymają się Indyanie swojej religii, swoich zwyczajów i obyczajów, a szczególnie dziwacznych przesądów i zabobonów, których zresztą nie spisałby całkowicie w księdze obszernej. Tu np. małżonka owdowiała rzuca się na gorejący stos męża; tu jakiś pokutnik zacisnął pięści, i oczekuje cierpliwie, aż paznokcie przeszyją na wskroś dłonie; tu syn czuły otwiera zgrzybiałemu ojcu bramy szczęśliwości wieczystej, wrzucając staruszka z dwoma próżnemi dzbankami w nurty świętej rzeki Gangesu; tam znowu inny pokutnik nabożny wiesza się za biodra na

najwyższem z drzew kokosowych, ofiarując ciało swoje krukom na pastwę; ówdzie możesz spotkać przesuwającego się chyłkiem człowieka, który brzydzi się wszelkim występkiem, a z dziwną rozkoszą udusi cię przy pierwszej sposobności, aby się przypodobać pewnemu bóstwu krwiożerczemu. Do tego wszystkiego dodaje *Gazeta bombajska* jeszcze jeden nowy, nieznany dotąd w Europie zabobon. Jeśli jaka kobieta z pokolenia Radżyputów bywa przez dłuższy czas niepłodną, tedy ślubuje bogom, iż pierworodny jej syn zeskoczy dobrowolnie ze szczytu góry *Utard-Mundatlah*, która w wysokości sześciu do ośmiudziesięciu metrów wznosi się prostopadle nad przepaścią skalistą. Gdy potem rzeczywiście powije syna, wyjawia mu zaraz w pierwszej młodości obietnicę, którą w jego imieniu uczyniła swym bogom. Za przykładem matczynym idą wszyscy krewni i znajomi, a ich przedstawienia owładają zwyczajnie do tego stopnia wyobraźnię dziecięcia, iż zgubę swoją uważa za święte i nieuniknione przeznaczenie. Podanie religijne naucza, iż każda taka ofiara staje się na drugim świecie *raja* czyli książęciem. Jeśliby się zaś wydarzyło, iżby ktoś przeżył swój skok fatalny, co z wyjątkiem jedynego wypadku nigdy się jeszcze nie stało, tedy ma on natychmiast zostać *raja Ukaru*. Jakoż wszyscy książęta tej prowincyi pochodzą (według tradycyi) od podobnież ocalonej ofiary. Zależy im też niemało na tem, aby żaden z poświęcających się na śmierć młodzieńców nie ocalał na dnie przepaści, t. j. nie żądał następstwa po nich. Zanim pozwolą mu skakać ze szczytu skały, ugoszczają go naprzód ucztą wspaniałą. W potrawach, które mu wtedy podawane bywają, znajduje się tak znaczna dozis trucizny, że i bez owego nieszczęsnego skoku musiałby umrzeć nieochybnie. Nikt też jeszcze, jak daleko pamięć zasięga, nie uszedł śmierci. Wszyscy wstępowali na skałę jakgdyby jakąś niewidzialną ciągnieni siłą. Stanąwszy zresztą na szczycie, nie można już cofnąć się, bo zbrojni żołnierze raji nie dozwalają odwrotu, owszem zabijają każdego ociągającego się. Owoż w lutym roku bieżącego miał zginąć takim skokiem pewien młody Radżyput, skazany na to przez swoich rodziców i krewnych. Wśród wielkich uroczystości wyprowadzono go na szczyt skały. Przed swoim tamże pochodem nie przyjął on jednakże żadnej potrawy u stołu raji. Od kilkudziesięciu lat nie widziano ofiary tak spokojnej i nieustraszonej. Towarzyszyli mu rodzice, śpiewając przeraźliwym głosem zwyczajne w podobnym razie pieśni nabożne. Na dany znak pożegnał się młodzian z rodzicami i krewnemi, i wyrwawszy z rąk wuja wielki parasol z liści palmowych, mocno z sobą spojonych, w jednem oka mgnieniu rzucił się na dół. Ze zgrozą zwróciły się ku przepaści oczy wszystkich obecnych. Lecz oto w pół drogi rozwiera się parasol, młodzieniec zaczyna spadać co raz powolniej, i omijając skały staje nakoniec zdrów i nieuszkodzony na ziemi. „Cud! cud!“—krzyknął tysiącznemi glosy lud zgromadzony. „Wisznu i Brama niezadowolnieni z panującego książęcia zsyłają mu następcę! Śmierć raji i jego rodzinie, bo tak chce Wisznu!“—woła tłum zbuntowany. W jednej chwili rzuca się cała tłuszcza na pałac raji, i zamordowawszy go wraz z całą rodziną, uznaję młodego Radżyputa *raja* Ukaru. *Gazeta bombajska* dodaje, iż nowy raja jest przebiegłym awanturnikiem, który zeszłego roku widział w Kalkucie wznoszenie się balonu, a odgadłszy instynktem niektóre prawa aerostatyczne, użył swoich wiadomości do ocalenia życia i detronizowania książęcia panującego.

Wartość przyrzeczeń. Człowiek mający znaczenie przyrzeka wspierać cię swoim wpływem — i zapomina o tem. Kamerdyner przyrzeka przypomnieć cię panu — i zapomina o tem. Odźwierny przyrzeka powierzyć twoje imię i twój adres kamerdynerowi — i zapomina o tem. Czegoż się tu dziwić? Czemuż zaraz na lenistwo, samolubstwo i niewdzięczność ludzi powstawać. Ty sam panie suplikancie jesteśże wolnym od zarzutu w tym względzie? Przyrzekłeś prawdę w twojej mowie, szczerość twojej żonie, pieniądze twoim dłużnikom, a dotrzymałżeś zawsze słowa? Nic łatwiejszego jak obietnica, nic trudniejszego jak dotrzymanie. Kupiec, który przyrzeka za umiarkowaną cenę przedawać towary, lekarz przywrócić zdrowie, adwokat z samej tylko sprawy czerpać dowody, sędzia samej tylko sprawiedliwości słuchać, podróżny prawdę tylko mówić, dorobkowicz nie pysznić się z swojego majątku, piękna kobieta nie być nigdy zalotną, dziennikarz zachowywać ciągłą bezstronność — wszyscy ci podobni są z swojemi obietnicami do tego zakochanego, który klęcząc przyrzeka kochance wierność do zgonu.

Filozof nawrócony. Oddawiendawna zastanawiano się nad tem, czy zwierzęta posiadać mogą rozum i wolę. Sławny filozof francuski Descartes był wielkim nieprzyjacielem zwierząt, i poczytywał je za proste machiny, nie posiadające nawet uczucia głodu i pragnienia, a tem mniej władzy chcenia i pożądania. Jego zdaniem, radość i boleść są u zwierząt próżnym tylko pozorem; ich poruszenia zaś pochodzą jedynie z jakiegoś nieświadomego instynktu. Szczekanie psa jest według niego, jednem i temsamem co skrzypienie pierwszego lepszego kołowrotu. Zdanie to przyjęto wówczas z wielkiem uszanowaniem i szumnemi pochwały. Na szczęście jednakże nie dadzą oświata i ludzkość pogodzić się w żaden sposób z okrucieństwem dla zwierząt. Ztąd też nie mogło się nigdy utrzymać zdanie, nazywające boleść zwierzęcia złudnym tylko pozorem. Zresztą już i za życia Descartesa nie brakło pojedynczych głosów przeciwnych. Pomiędzy temi wymieniano osobliwie pewnego zwolennika teoryi Kartezyuszowej, który zabawnym wypadkiem wyleczył się z swojego urojenia. W drodze do południowej Francyi czekał on raz w oberży na zamówiony obiad. Naraz wchodzi gospodarz, i zaklina mu się na wszystko, iż niepodobna przyrządzić jedzenia, bo nie można psa znaleźć, który zwyczajnie obraca rożen z pieczenią. Zaczęto przetrząsać na nowo wszystkie kąty, aby odszukać zbiegłego kuchcika. Ale wszystko na próżno. Nakoniec pokazało się, że gospodarz posiadał dwa psy, które z kolei pełniły służbę przy rożnie. Owoż pies, na którego dziś kolej przypadła, zachorował, a drugi, ta według Kartezyusza druga machina, nie chciał żadną miarą zastąpić jego miejsce. Nie pomogły ani pochlebstwa ani groźby. Wolny od służby pies uparł się przy swojem prawie dzisiejszem. Wtedy wraz z pieczenią wyrzekł się głodny filozof i zdania o Kartezyańskiej „machinalności“ zwierząt, przeciwko której owszem walczył odtąd piórem i mową.

**Przypowieści.** — Co ci powie białogłowa — Pisz na bystrej wodzie słowa,

Kto jedzie na niedźwiedzia, niech sobie łóżko gotuje, a kto na wieprza (dzika), niechaj grób.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiej drukarni rządowej.*